

Nauka z lasu

Krzysztof „Krisek” Kwiatkowski pracował w ośrodku dla trudnej młodzieży, który nie przetrwał. Ale sam przetrwać potrafi i sztuki survivalu uczy innych.

❖ **MARCIN PIĄTEK**



© ARCHIWUM KRZYSZTOFA KWIATKOWSKIEGO (3)

Należy do gatunku dzikuśkich. Albo raczej puszczańskich, bo w polskiej rzeczywistości dominuje leśna odmiana survivalu. Kwiatkowski, rocznik 1952, survivalowo aktywny od dobrych 30 lat, autor tematycznych książek, preferuje bieszczadzkie ostępy, gdzie z racji wypracowywanych latami układów z tamtejszym nadleśnictwem on i jego banda (jak sam mawia: moje prywatne harcerstwo) mają nieskrępowany wstęp. W wersji cywilizowanej biorą ze sobą namioty, zapasy żywności, a gdy idą na żywioł, to już wszystko – narzędzia, jedzenie, dach nad głową – muszą zorganizować na miejscu.

Chodzą po lesie tak, aby się zgubić. Torują drogi wśród zarośli, myszkując tam, gdzie nawet bieszczadzcy leśnicy

się nie zapuszczają. Na koniec jest dla odważnych próba generalna: trzy dni z dala od obozowiska, samotnie. Minimalistyczny ekwipunek: plecak, karimata, śpiwór, nóż, latarka, krzesiwo. Wodę trzeba znaleźć samemu, zapasy jedzenia niewskazane – gdy ktoś zgłodnieje, las zaspokoi pierwszy głód, ale można też nie jeść wcale, picie wystarczy (Kwiatkowski nieraz sprawdzał – da się wytrzymać). Niewskazane są też kontakty między uczestnikami wyzwania, by nie naruszać doświadczenia samotności. Tego jednak przestrzegać trudno, bo wytrzymać samemu ze sobą długie trzy doby to jest dopiero sztuka przetrwania.

Z obserwacji Kwiatkowskiego, w cywilu pedagoga z wieloletnim stażem (obecnie przymusowo emerytowanego; łódzcy urzędnicy zdecydowali, że ośrodek dla

trudnej młodzieży, w którym przez lata pracował, nie ma racji bytu), zaczytującego się w książkach psychologicznych: podczas samotnego bytowania doskwiera niektórym nuda. – *Próba nerwów jest samotna noc. Wtedy niektórzy wracają. Styszeli wcześniej od leśników, że bywają w okolicy wilki, niedźwiedzie, ale to nie ich obawiają się najbardziej. Największy lęk budzą obcy ludzie, choć w tych stronach można spotkać właściwie tylko uciekinierów od życiowych porażek, takich drobnych pijaczków, zupełnie nieszkodliwych, zajmujących się wypalaniem węgla drzewnego* – mówi Kwiatkowski.

Nauka przetrwania, trochę na wzór amerykański, ma nas przygotować na najgorsze. Stąd u wieloletnich praktyków, u Kwiatkowskiego również, permanentny, choć dyskretny, stan wzmo-



W cywilizowanej wersji surwiwału biorą ze sobą namioty i zapasy żywności, gdy idą na żywioł, to już wszystko – narzędzia, dach nad głową, jedzenie – muszą organizować na miejscu.

zonej czujności, pobudzenia, kreślenia w wyobraźni potencjalnych planów ratunkowych. Pierwsze, co Krisek robi po zameldowaniu się w hotelu na małżeńskim urlopie, to sprawdzenie dróg ewakuacji. Tak już ma, to jest silniejsze od niego.

Ale mimo poczucia misji, jakie nieodłącznie towarzyszy surwiwalowcom, traktuje się ich raczej z przyzwyczajeniem oka. Ot, duzi chłopcy, cierpiący na syndrom Piotrusia Pana, bawiący się w harcerzy. Zaszyci gdzieś na odludziu, pielęgnują własną twardość, budując szałas z gałęzi, myjąc się w zimnym strumieniu, zjadając żywe dżdżownice, a w wersji chulikańskiej – kradnąc inwentarz z okolicznych gospodarstw. Bo tak najłatwiej samodzielnie zorganizować coś na kolację.

Nie bierze się surwiwału na poważnie również dlatego, że moda na wszystko, co ekstremalne i radykalne, porwała tę część środowiska, która dostrzegła, że da się na tym przyzwoicie zarobić. Propagują surwiwal powierzchowny, mający wywołać wielkie „wow”, gdy już (obowiązkowo) pochwalą się swoim nowym twardejskim wcieleniem w przestrzeni internetowej. Jak powiada Kwiatkowski, typ oldskulowy, uczestnicy takich wypraw siedzą wokół ogniska, pieką kiełbaski i strugają z kawałka drewna jakąś łyżką. – *Potrafia godzinami rozmawiać o technikach i narzędziach, np. o nożach: stal, ostrze, rękojeść. A przecież, zgodnie z surwiwalową zasadą, najlepszy zawsze jest ten nóż, który masz przy sobie* – wyklada prostotę sztuki przetrwania.

Surwiwal jest widowiskowy – wie o tym telewizja. W serii „Survivor-man”, znanej u nas jako „Człowiek, który przetrwa wszystko”, emitowanej przez Discovery, główny bohater Les Stroud porywa się na tygodniową samotność w różnych odludnych miejscach i pod ręcznymi kamerami dokumentuje swą niełatwą egzystencję. Jego główne zmartwienia to nie zwariować od bliskości ►

REKLAMA

NAJCIĘKAWSZE HISTORIE ŚWIATA



FORUM

W najnowszym numerze:

ZA MAMUSIĘ, ZA TATUSIA

Dzień z życia nastoletnich uczniów prestiżowej szkoły sumitów w Japonii.

OD 18 WRZEŚNIA
W NAJLEPSZYCH PUNKTACH SPRZEDAŻY

► otaczających go zagrożeń, jeść, pić, nie zmarznąć, nie zachorować. Przetrwac. Jest to, co lubi widzieć: Les posila się surową foczą wątroba, foczym okiem uważanym przez inuickie dzieci za delikates, wygrzebuje z pni larwy owadów, które piecze w żarze ogniska. Les jest zaradny jak MacGyver: z jednej zapałki zrobi dwie, a na następnym noclegu rozpali ogień dzięki wiedzy, że krowie łajno, które przeniósł z poprzedniego obozowiska w blaszanym pojemniku, może się tlić godzinami. Les sprawia wrażenie zestresowanego: tu ślady niedźwiedzia polarnego, tam szkielety zwierząt pokąsanych przez grzechotniki. Kwintesencja samotnego bytowania na pustkowi.

Kwiatkowski mówi, że jego *surwiwal* jest dla kamer nudny, z ich punktu widzenia za mało się dzieje. Nie ma pretensji o spłykanie tematu, o eksponowanie jego efekciarskiej strony, bo jednak są tacy, którzy sami z siebie chcą czegoś więcej niż dłubania szczyrykiem w patykach i pobudzają własną wyobraźnię, odkrywają, że owo trochę sterowane naśladownictwo pionierów, robinsonów, to jest dobra zaprawa przed powrotem do prawdziwego życia. – *Mówi się w naszym środowisku, że jeśli poczułeś uderzenie adrenaliny, popełniłeś błąd. Surwiwal to nie jest sztuka dla sztuki, ale pewne specyficzne narzędzie, mające wyrobić w nas pewność siebie i spokój, który ma się przydać w sytuacji, gdy inni panikują.*

Z natura oswajał małego Krzyśka ojciec Sławomir, spadochroniarz gen. Stanisława Sosabowskiego, uczestnik bitwy pod Arnhem. Generał rozkazał szkolić swoich podopiecznych ze sztuki przetrwania w obcym, dzikim terenie. Tę szkołę bycia gotowym na wszystko w wojennej rzeczywistości żołnierze nazywali kursem korzonkowym.

Po wojnie kapral podchorąży Kwiatkowski postanowił ułożyć sobie życie w Polsce. Jakoś się udawało – weterani Sosabowskiego, jak odnotowali historycy dziejów najnowszych, specjalnie ustrojowi nie wadzili. W wakacje ojciec zabierał Krzyśka na wyprawę, gdzie korzonkowe umiejętności miały się przydać. Inicjacyjna była na Mazurach. Poruszali się rowkami, spali w lasach, w rowach, na łąkach, a ojciec imponował zaradnością, pomysłowością, opanowaniem w każdej sytuacji. Krzysiek też chciał być taki.

Prywatne harcerstwo zaczęło się od wyjazdów z grupami młodzieży, które Krzysztof, dyplomowany pedagog, dostawał pod swoje skrzydła. Kwiatkowskiemu, w przeciwieństwie do niektórych opiekunów, chciało się ruszyć w teren. Korzonkowe życie wciągało go coraz bardziej, ktoś podrzucił mu kolorowy włoski magazyn, w którym tematem okładkowym była wyprawa Jacka Pałkiewicza na Borneo. Uznał, że własne obserwacje dotyczące sztuki przetrwania i płynącej stąd mocy kształtowania charakteru warto opisać. Wydał książkę, poznał się kiedyś z Pałkiewiczem, pogadali jak *surwiwalowiec* z *surwiwalowcem*. Mistrz Pałkiewicz pochwalił pisane słowo autorstwa Kwiatkowskiego – Krisek momentalnie urósł o kilka pięt. Pisanie wciąż uważa za część swojej misji – niedawno ukazała się kolejna edycja jego książki „*Surwiwal po polsku*”.

Potem, już w ośrodku wychowawczym, gdzie trafiły mu się trudne przypadki – rozboje, podejrzenie usiłowania zabójstwa, podpalenie bezdomnego – urządził *surwiwal* na co dzień. Rozumiany jako niechodzenie na łatwiznę. – *Była między nami przyjaźń, ale były też wymagania. Mówiłem chłopakom na przykład, że nie dostaną przepustek tak po prostu. Ale gdy*

Kwiatkowski uważa, że staliśmy się wygodni, rozleniwieni życiem w bezpiecznym cywilizacyjnym kokonie. Skażeni wyuczoną bezradnością, obojętni w sytuacjach, gdy można pomóc.

mnie trochę poznali, wiedzieli, że mają to rozumieć jako zachętę do negocjowania, wchodzenia w sztukę argumentacji – opowiada Krisek.

Były też klasyczne *surwiwalowe* wypadki – nie tylko w plener, ale np. do Glinnika, gdzie stacjonowała jednostka kawalerii powietrznej. Przychylnym okiem patrzył na pedagogiczne metody dowódcy jednostki, wówczas jeszcze major Tadeusz Buk. Jakaś musztra, tor przeszkód, trochę strzelania – twardo, ale z zachowaniem poprawki, że ma się do czynienia z cywilami. Przygodą życia miała być dla nich wyprawa na Syberię – 300 km przedzierania się przez tajgę. – *Załatwiłem pieniądze, prawie 100 tys. zł. Mielśmy już przewodników, dwóch myśliwych, którzy mieli nas chronić i dostarczać pożywienie. Tłumaczyłem chłopakom, że będziemy tam sobie nawzajem potrzebni i że tam nie da się trzasnąć drzwiami, trzeba nauczyć się współdziałania. Ale do wyprawy nie doszło, bo ośrodek zamknięto, straciłem pracę, a chłopców rozparcelowano* – nie może odżałować Kwiatkowski.

To był chyba jedyny moment w dorosłym życiu, gdy poczuł dotkliwą bezradność i całe jego *surwiwalowe* doświadczenie, które mówi, że człowiek jest w stanie przystosować się do każdych okoliczności, a warunki zewnętrzne można wykorzystać do swoich potrzeb, zdało się na nic.

Nie czuł się taki bezradny na syberyjskim pustkowi. Było tak: przypadek sprawił, że Romuald Koperski, organizator rajdu Transsyberia 2004 i jednocześnie kierowca terenówki, którą jechał Krisek, odjechał z postoju bez niego. Został sam jak palec gdzieś przy Trakcie Kołymskim. Zapadł zmrok, nieprzyjemnie śpiąco, noc groziła przymrozkami, a Kwiatkowski miał na sobie tylko polar, a ze sprzętu latarkę oraz multitoola, czyli wielofunkcyjny scyzoryk, z którym nie rozstaje się nigdy (takie zboczenie *surwiwalowe*). – *Pierwsza myśl była taka, że na pewno sobie poradzę. Ale nie zdążyłem jeszcze rozejrzeć się za jakimś schronieniem, nie zdążyłem podjąć decyzji, czy kleić szalaz z gałęzi, czy może iść wzdłuż drogi, którą podobno raz na dobę coś jeździ, gdy zobaczyłem światła samochodu. To był ostatni wóz z naszej kolumny, którego zupełnie się nie spodziewałem* – opowiada Krisek.

Zyciowe doświadczenie podpowiada mu, że każdy może na uprawianiu *surwiwalu* skorzystać. Znaczenie ma środowisko – sprawdza się stereotyp, że dorastanie na wsi hartuje bardziej niż w mieście. Chętni przychodzą w miarę wiadomości tego, co ich czeka, ale bezpośrednia styczność z surową naturą może wzniecić paniczne instynkty – zdarzył się kiedyś chłopak, który urządził awanturę o to, że w porze obiadu musiał chodzić głodny. Psuł atmosferę, wkrótce sam opuścił grupę.

Kwiatkowski jest zresztą nie najlepszym zdania o przeciętnych Polakach: – *We francuskich schroniskach mawia się, że jak nocą widać na przełęczy trzy światła, to z wyprawy wraca grupa trzech Francuzów. Albo ośmiu Polaków.*

Uważa, że staliśmy się wygodni, rozleniwieni życiem w bezpiecznym cywilizacyjnym kokonie. Skażeni wyuczoną bezradnością, obojętni w sytuacjach, kiedy można pomóc, zaprogramowani w czekaniu na przeszkolone służby. – *Trochę w tym jestem prowokacyjny, świadomie złośliwy, ale ta bierność jest powszechna, zaraźliwa i niezwykle irytująca. W psychologii to się nazywa facylitacją społeczną – będąc w grupie, nie podejmujemy działania, bo uważamy, że na pewno jest ktoś, kto zrobi to lepiej, i dochodzi do rozproszenia odpowiedzialności. A doświadczenia *surwiwalowe* mają wywołać instynkt działania. Bo wtedy na pewno uruchomi się reakcja łańcuchowa – za pierwszym odważnym ruszą inni, a wśród nich znajdzie się pewnie ten, który wie, jak pomóc. I o to chodzi.*

MARCIN PIĄTEK